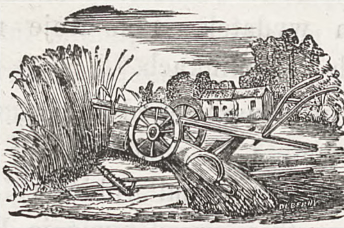
Tom II. 21. Listopada 1870. Nr. 15

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Na bandosie.

Jankel Frycman siedział na arendzie od lat dwudziestu sześciu w karczmie Zadwórzańskiej, a był to żyd podobny zupełnie z pejsów i brody do tysiąca swych braci, ale z usposobienia i z poczciwości wielu mu nie dorównywało. On to i w dobrych stosunkach był z panem i z chłopem potrafił utrzymywać zgodę, niejednemu poradził, bo głowę miał jak adwokat, nie jednemu dopomógł za mały procent w potrzebie — dość na tem, że w całej okolicy Jankiel słynął za najuczciwszego żyda. Toż wszyscy ludzie ze wsi mieli wielkie zaufanie do niego, i po księdzu proboszczu Jankiel był najpierwszym powiernikiem każdego. W tej samej wsi siedział na zagrodzie kmieć, nazwiskiem Bartłomiej, którego dla chrypliwego głosu pospolicie nazywano „Bartkiem Chrypą“. Owóż ten Chrypa był najtęższym pijanicą z całej gromady, wódkę spijał całemi blaszankami, a wszystek grosz przepuszczał przez gardło do tego stopnia, że kiedy już zabrakło grosiwa w kalecie, to pognał na targ bydlę, lub ostatnią ćwierć ziarna wyniósł, aby tylko dogodzić brzydkiemu nałogowi.

Często mu Jankiel wymawiał pijaństwo i wzbraniał się nawet bez względu na zarobek napełniać kwaterki, bo wiedział,

że tam w chacie żona haruje przy pracy i każdy grosz krwawym zleje potem, że jest jeszcze córka, dla którejby potrzeba na niejeden wydatek, i że troje niedorosłych dziatek chodzi w podartych koszulinkach.

— Ej, żydzie psiawiaro! kiedy płacę, to dawaj i kwita — co tobie do mojej żony i do moich dzieci, żona moja, i dzieci także moje, to mogę z niemi robić, co mi się podoba, — odpowiadał na wszystkie przedstawienia Bartek, i pił dalej bez miary.

— Ny, ny! co z tego będzie? — zobaczymy.

I w istocie nic dobrego nie było. Raz z początkiem lata Bartek zanadto nahulał się przez całą wiosnę, i prawie zupełnie wypróżnił szpichlerz i oborę; nie miał więc już co robić w chałupie, gdzie mu ciągle wyrzuty nad głową robiła żona i gdzie się patrzeć musiał na biedne, głodne dzieci i na smutną córkę Rózię. Związał więc mały węzełek i pewnego poranku, wziąwszy sobie ze starostwa paszport, ruszył nie opowiadając się nikomu na bandos, czyli na służbę za granicę do Rosyi. Na taki bandos wychodzą ludzie z całych powiatów gromadami po stu i więcej obojej płci, aby szukać zarobku przy żniwach u zagranicznych obywateli. W czasie drogi prowadzi ich obrany przez wszystkich przewodnik, a w najbliższem miasteczku za granicą szuka dla nich służby i godzi się wedle umowy na czas kilkutygodniowy do żniw i do innej pracy w polu.

Z taką bandą wyruszył i Chrypa, zakosztował obcego chleba, a szczególniej obcej wódki, którą Moskale dosyć gościnnie częstują bandosów z Galicyi. — W chacie została Bartkowa z dziećmi, opuszczona, zmartwiona tak nagłem zniknięciem męża, który jej pomimo wszystkich wyrządzonych przykrości nie był obojętnym. Jak zwykle w każdym frasunku pospieszyła do Jankla.

— Nie bójcie się, licho nie zginie; jak się podział, tak się i znajdzie — ny, co tu za gewałt? Mówił mi niedawno kulawy Jendruk, że widział waszego człowieka, jak brał paszport w becyrku — pewnie poszedł do Moskali, bo mu tutaj nie smakowała wódka. Nie bójcie się, na żniwa powróci on znowu.

Bartkowa otarła oczy, nieco spokojniejsza, i powróciła do domu pocieszyć strapioną Różię. — Wzięły się potem obie do pracy z podwójnemi siłami, i po sześciu tygodniach powrócił choć w części dawny porządek do chaty i spokój niezamącony pijaństwem Bartłomieja. — Mówią, że mąż to głowa w domu, ale przecież żona, to ręce domowe. Bartłomiejowa z córką pomimo tego, że były tylko słabe kobiety, bez pomocy, więcej umiały radzić sobie, niż inni mężczyźni; prawda że często zaglądał do chaty młody parobczak Walek, syn bliskiego sąsiada, o którym ludzie mówili, że się trochę zaleca do Rózi, — i pomógł to w tem, to w owem — ale cóż? poczciwy chłopak miał dosyć roboty u ojców, którzy niebardzo chętnie patrzali na uczucia syna dla córki pijanicy, i nie zezwalali dobrym chęciom Walka.

Minęło dwa miesiące od czasu jak Chrypa wyszedł na „bandos.“ Wielu jego towarzyszy popowracało, ale o nim ani słychu nie było. Aż wreszcie raz późną nocą zastukał ktoś do karczemnego okienka w Zadwórzanach. Jankiel zbudzony niechętnie wylazł z pod pierzyny i wyglądając małą szybką na zewnątrz, ujrzał człowieka w porządnej płótniance, domagającego się wejścia.

— Może jaki podróżny, pomyślał Jankiel i zapaliwszy świeczkę, wyszedł odsunąć skobel przy dzwiach.

Wieśniak w płótniance, z kosturem na ramieniu, na którem wisiała para podartych butów, wszedł do karczmy i miasto pozdrowienia zażądał wódki. Jankiel przypatrywał mu się pilnie płucząc blaszankę i zdawał się pod szerokim kapeluszem poznawać rysy Bartka, który stał w półcieniu i nakładał sobie małą glinianą fajeczkę.

Z psiprosieniem — zaczął wreszcie ciekawy karczmarz, — czy wy nie tutejszy, Bartłomiej?

— Albo co? — odpowiedział rubasznie ochrypłym głosem Bartek — bowiem on to był, który za powrotem do domu, miasto ojczystej zagrody i swoich, najsampierw odwiedził karczmę.

— Ot nic, tak z ciekawości zapytałem się. Będzież to się cieszyć wasza kobieta i dzieciów — dodał żyd, — a cóż tam na drugiej stronie słychać, urodzaje jakie?

— Ba! w zbożu chłopa nie zobaczysz — odparł Chrypa — przytykając kwaterkę do ust, a wypróżniwszy ją jednym łykiem, skrzywił się i splunął, mówiąc: tfu! cóż to za słabizna!

Jankiel spojrzał nań z zdziwieniem i po chwili odezwał się znowu:

— A gdzieżeście tak długo przebywali, czy przy robocie ciągle?

— Ej cobym tam miał robić bez ustanku jak wół w jarzmie! Inni to sobie tęgo pogięli grzbiety, ale ja... zresztą co cię to obchodzi? — odburknął grubiańsko, a wydobywszy ze szmatki pieniądze, zapłacił i odszedł. Jankiel zagasił świeczkę, zamknął wrota i mruczał coś pod nosem niezadowolony; bardzo czegoś podejrzewał ten długi pobyt Chrypy na bandosie.

Nie opowiem Wam, jak się przywitał Bartłomiej za powrotem ze swoimi, tyle tylko dodam, że przesiadywał odtąd częściej niż pierwej w chacie, i wiele, wiele rozprawiał z żoną w sekrecie, dłużej niż zazwyczaj przypatrywał się rumianej twarzyczce Rózi, i uśmiechał się znacząco i z ukontentowaniem. Wódkę pił jak i pierwiej, a może i więcej, tylko że rzadziej upijał się, a od czasu do czasu jakieś tajemne konszachty miewał z parobkami, i dziewczętom kładł w ucho raz w raz jakieś ciche uwagi, i zadawał pytania, na które zakłopotane odpowiadać nie umiały, lub odważyć się nie mogły.

Janklowi często przedkładał sprzedaż gruntu swego i gospodarstwa, wspominając ni to ni owo o zamiarze przesiedlenia się do innej wioski.

Jankiel dziwił się nie mało zmianie w usposobieniu Bartka, co do kupna nie mógł się jeszcze zdecydować, zresztą nie wierzył zupełnie luźnym słowom Chrypy i wyczekiwał końca.

Widocznie coś gotowało się w Bartkowej chacie, a jemu samemu jakieś dziwne myśli powłaziły do głowy; gospodarka z jego powrotem poczęła znowu podupadać, chociaż więcej szanował na pozór dobytek; chudoba chorzała, umarło nawet na zimę dziecko najmłodsze. Kobiecisko zaczęło także kwękać, i Rózi pobladły rumieńce. Pomimo tego Chrypa w miarę nieszczęść nie tracił ducha — zdawało się, jakby się wszystko spełniało

nawet podług jego życzeń. — Przyszła wreszcie wiosna, inni gospodarze dawno już powrzucali zasiew i rozpoczęli roboty w polu; jeden tylko Chrypa siedział bezczynnnie, bo prócz ochoty brakło nawet i środków do pracy. W stodole pustki, wszystko gdzieś szczezło i przepadło. Dziwili się sąsiedzi, pytali, ale Chrypa zaciął się i nie odpowiadał. Wreszcie raz z początkiem lata Bartek po długiej i ostatecznej rozprawie z żoną, z widocznem zadowoleniem wyszedł z chaty i podążył wprost do karczmy, a wziąwszy Jankla do bocznego alkierza, powiedział:

— Wiecie co? Frycman! Przychodzę w ważnym interesie. Aby wam dużo czasu nie zabierać, powiem bez ogródek; widzicie jak nam się nie wiedzie, nie można już dłużej wytrzymać na własnym chlebie, musimy pójść szukać służby u obcych. Kupcie więc moją chatę i pole, aby było choć z czem wyjść ze wsi.

Jankiel roztworzył gębę, kręcił pejsy, a przymrużając jedno oko, zapytał: a dawno wam już taka myśl przyszła?

— No, kiedy przyszła, wtedy przyszła, odpowiedział unikając wzroku żyda Bartek, to do was nie należy, chcecie kupić, czy nie chcecie? — toż mówcie.

— Więc wy znowu niby na bandos? zapytał niezrażony Jankiel.

— Nie.... to jest, wychodzimy wszyscy, ja żona i córka, ale co wam do tego, chałupy nie dostaniecie taniej.

Frycman myślał, chodził po alkierzu, długo rozbierał całą rzecz, w końcu odezwał się do Chrypy z przedstawieniami, czyby nie lepiej było zostać na gruncie, poszukać we wsi służby na ten rok, zapożyczyć się nawet, może Bóg poszczęści, aniżeli szukać u wrogów przytułku i puszczać się na ślepy traf. Mówił wiele zapalając się poczciwy żydzisko, że grzechem jest rzucać ojczyznę dla jakichś tam widoków, a zwłaszcza u nieprzyjaciela. — Gdy jednak upór Bartka nie dał się przełamać, Jankiel ofiarował się nie kupić na własność cały dobytek, ale pożyczyć nań pewną sumę: bo, mówił, kto wie jak się wam powiedzie, zawsze lepiej, gdy będziecie mieli prawo powrócić pod własny dach.

Ugoda stanęła szybko.

Podczas tego pod kościółkiem drewnianym stała smutna para, Walek i załzawiona Rózia.

— Więc pójdziesz? — pytał chłopak drżącym głosem.

— Ha, cóż robić, tatuś kazali; boję się tylko, by nam to na złe nie wyszło. Moskaliska zakręcili ojcu głowę, bo od czasu, jak od nich powrócił, o niczem z matusią nie gadali, tylko o nich i o bandosie, i chwalili gościnność i bogactwa tamtejsze.

— Widocznie obałamucili starego — mówił Walek — bo i drugich we wsi namania, opowiadając niestworzone rzeczy o dziewkach dorodnych, którym na wiano dają po dwie chałupy i gruntów straszną moc. Toż kilku naszych wyszło już, a inni się gotują do drogi, tak im się podobała żeniaczka, jakby tu u nas nie znalazł uczciwej żony?

— Oj, prawdę mówisz Walku, — odrzekła Rózia, — a nawet tatuś naszym dziewczętom doradza bandos, bo powiada, że takich chłopców nie ma na całym świecie, a za robotę to złotem płacą.

Chwilkę jeszcze porozmawiali, — i rozeszli się smutni.

Za dwa dni, ułagodziwszy się ze wszystkiem, Bartek Chrypa z żoną i córką, zostawiwszy małego synka u sąsiada, bo z krewnych nie miał nikogo więcej we wsi, wyruszył na bandos, za granicę, rzucił chatę i ojcowiznę i szedł wysługiwać się.

We wrotach karczmy stał Jankiel, patrzył za wychodźcami, i jak zwykle kiwał głową milczący, a koło drogi na moście ocierał oczy rękawem Walek, któremu żal ściskał serce za biedną Rózią.

— Co temu staremu tak zasmakowało po tej drugiej stronie? Gromada dowiedziawszy się o postępku Chrypy, sarkała bardzo na niego, zwłaszcza, że zapewne skutkiem namowy tegoż bardzo wielu parobków i dziewcząt złakomionych wyszło z wioski niby za służbą, ale najprawdopodobniej spróbować szczęścia w obczyźnie.

Dobra i pożyteczna jest praca, ale uważać trzeba, z kim i dla kogo się pracuje. Nie z każdej pracy będą kołacze.

Tak też powiedzieć mogli sobie bandosy, powróciwszy do domów zbiedowani, z opuchłemi od ciągłej drogi nogami, a za pasem niosąc kilka groszy mizernego zarobku. Nie tak to dobrze było, jak im Bartek obiecywał Od najwcześniejszego świtu aż do ciemnej nocy kazano im robić bez ustanku za trochę strawy. O żonie ani pomyśleć, a chaty stały wprawdzie, ale do ich posiadania nie tak łatwo było dojść. Za to w niedziele i święta życie wesołe, bo żołnierze, którzy wynajmywani od obywateli tamecznych pracowali razem z bandosami, umieli się zabawić i opowiadać wiele rzeczy — nawet o polityce, tłumacząc, co to jest Moskwa, a car, a Bóg, i każdą rozmowę hojnie oblewali gorzałką.

Dziewczęta jednak więcej się jeszcze zawiodły, wiele powróciło do ojczystej chaty wnosząc ze sobą srom i hańbę jako spuściznę i pamiątkę po bandosie, inne ze złemi zasadami upadły jeszcze niżej, nawet poddały się nałogowi pijaństwa i wytykano je palcami we wsi. Mężczyźni przyswoili sobie wiele zepsucia, nauczyli się przekleństw i bezecnego obejścia, a co najgorsza, przez obcowanie z wielu złymi ludźmi i nieprzyjaciołmi Polski, poczęli zapominać o tem, że są jej synami... ot, i gorsze jeszcze były skutki, o których wolę zamilczeć — dość na tem, że bandos nie najlepsze pozostawił po sobie wspomnienie. Wróćmy jednak do Chrypy.

Minęła jesień i zima, Bartka nie widziano we wsi, ani nie słyszano o nim. Chatę zamieszkiwał Jankieła szwagier, a Walek coraz to pytał się i wywiadywał o Rózię u przybyłych — ale bezskutecznie.

Zima była mroźna, śniegi zawiały, wszystko tuliło się w ciepłych chatach, na dworze świszczy wicher, sypiąc białe tumany, a po gościńcu do Zadwórzan wlecze się okryta podartą płachtą, drżąca od przeziębienia postać dziewczyny.

Nogi pod nią tretwieją, w piersi zatyka mróz oddech, w koło głucho, ni żywej duszy, tylko krzyż, a na nim wrona przycupnęła.

Ściemnia się już ku wieczorowi, w dali błyszczą światełka, już do wsi nie daleko, ale dziewczynie braknie sił, ciało jej

jak bryła łodu; jeszcze chwila.. a odzyska pół życia przy ciepłem ognisku, jednak niestety!... nie może iść dalej. Patrzy na krzyż Zbawiciela, z oczu jej potoczyły się łzy i na wychudłem zamarzły licu. Z nikąd ratunku, u stóp więc tego krzyża chce znaleść pomoc, siada prawie zemdlona, a litościwy wiatr zgartuje na nią okrycie śnieżne. Już życie o mało nie ucieknie do reszty z ciała, a mróz ją jakby szpilkami ścina.

— Boże mój! — wydzwoniły sine usta — muszę... zginąć!

Zdala jakby w odpowiedź doleciały głosy huczne z Zadwórzańskiej karczmy, — ale równocześnie Bóg litościwy zsyła ratunek. Z przeciwnej strony słychać dzwonek.. ktoś jedzie.... widać sanie, pędzące konie robią bokami, już, już... koło krzyża mają przebiedz.. obaczyły skuloną postać, rzuciły się w bok przestraszone... przystanęły.

Z sani zlazł wiekowy mężczyzna, przystępuje bliżej, poznaje dziewczynę i pyta:

— Ktoś ty? — zkąd ty idziez?

— Ach, jestem... Bartkowa Rózia, z tej wioski... i.. idę z ban... dosu — ratujcie!...

Niedługo potem na ciepłej pościeli spoczywała dziewczyna, nabierając nowych sił i życia, a obok stoi Walek z całą rodziną. Boskiem zrządzeniem ojciec Walka powracał ze dworu i znalazłszy biedną Rózię przywiózł ją do własnej chaty.

Tam ją poznali. Nie do opisania było przerażenie i podziw obecnych — wszyscy byli ciekawi dowiedzieć się czegoś, ale daremnie. Rózia była zanad o osłabiona, by mogła ich zaspokoić.

Na drugi dzień jednak, przy pomocy dobrych ludzi odzyskała więcej sił i zdrowia, więc gdy się wszyscy dawni znajomi a między nimi i Jankiel, pozchodzili, poczęła opowiadać, jakto ojciec wyprowadziwszy ją za granicę z matką, zmienił swoje postępowanie, jak przyszedłszy do jakiegoś miasta, wysłał ich na robotę, a sam znałazł sobie przyjaciół swoich, chłopów i żołnierzy, pił z nimi dzień i noc, odbierając żonie i córce krwawy grosz, aby go roztrwonić; jak potem jacyś panowie z urzędu przywoływali go do siebie i wypytywali o rozmaite rzeczy, o

ludzi tutejszych, obiecując pieniędzy; mówiła, jak matka robiła wyrzuty mężowi, że nie chce powracać do domu, tylko w jakieś nieczyste sprawy się miesza; jak została ugodzona flaszką w głowę i odtąd chorowała coraz więcej; aż (tu łzy zalały ją) umarła przed pół miesiącem. Ojciec wałęsał się bez zatrudnienia, namawiał ją, aby poszła za mąż za jednego barczystego Moskala, groził nawet, że ją przymusi. Stało się jednak inaczej, bo po śmierci matki nic ją więcej nie wiązało, uciekła więc z ostatkiem grosza i sił do ojczyzny. Resztę wiecie z poprzedzającego. Wszyscy ubolewali nad nią, nawet rodzice Walka uczuli wielką litość i współczucie dla biednej Rózi

Cóż się dalej stało? Po kilku tygodniach pobytu u nich, odświeżyła się nieco twarzyczka Rózi, przekonali się o jej uczciwości, pozwolili na żeniaczkę Walka z Rózią. Odebrali zastawiony dobytek od Jankla, osiedli na gruncie i żyli wzorowo i przyzwoicie. O Bartku zaginęła wieść. Córka tylko, a później i wnuki modliły się za nim do Boga, aby mu przebaczył i opamiętał go. *K. Bor.*

Kotor.

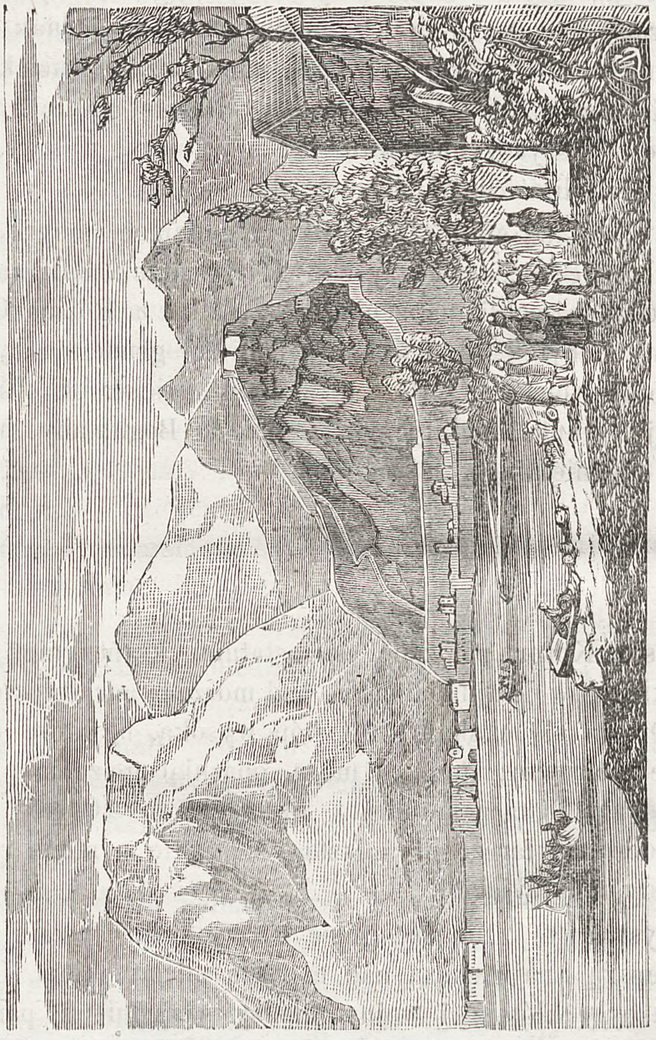
Miasto Kotor położone na ostatniej krańczynie państwa austrjackiego, w kraju Dalmacji, nad morzem adrjatyckiem czyli sinem. Opiera się o skałę 900 stóp wysoką, na której szczycie stoi zamek warowny. Ramiona muru, opasującego zamek, spadają wzdłuż skały i otaczają miasto. Mur ten do 10 stóp wysoki, stanowi obronną tarczę dla miasta, i nieraz to o niego rozbijały się napady nieprzyjaciół.

Przystań (t. j. miejsce gdzie okręty wypoczywają) Kotoru jest najlepszą i największą nad morzem adrjatyckiem. I dlatego to ciągłe były kłótnie i wojny między sąsiedniemi państwami o to, kto ją ma posiadać. Należała to do Wenecji, to do Turcji to wreszcie obecnie należy do Austrji.

Dawniej było to ludne i wspaniałe miasto — dziś małe, ubogie, opuszczone, zaledwie kilka tysięcy liczy mieszkańców. Ustawiczne wojny państw sąsiednich i napady Czarnogorców,

którzy rabowali i zabijali mieszkańców, doprowadziły je do zupełnego upadku.

Dziś wojny ustały, a Czarnogórcy przychodzą spokojnie po proch, strzelby, kule i inne rzeczy, a za to przynoszą jarzyny, surowe mięso i drzewo.



Kotor.

Ziemia w okolicy nieurodzajna — do tego mgły i burze ustawiczne nie sprzyjają uprawie roli. To też Dalmatyńcy siadają na łodzie, puszczają się na morze, aby rybołostwem na życie zarobić.

Mieszkańcy Kotoru i okolicy mówią językiem podobnym do naszego. Mieli oni takie prawo, że ich nie wolno było do wojska brać, a za to służyli na okrętach.

Chciała im rada państwa odebrać to prawo, boć każdy powinien bronić kraju swego, ale Kotorczycy się oparli, prowadzili nawet wojnę w roku zeszłym — i w końcu dla miłej zgody zostawiono im to prawo, boć to ich jest nie bardzo mało i wieleby tam przybyło żołnierzy choćby i wszystkich zabrać.

Złoty kubek.

W szarem polu na ustroni
Złote jabłka na jabłoni,
Złote liście pod jabłkami,
Złota kora pod liściami.

Aniołowie przylecieli
W porankową cichę porę
Złote jabłka otrząsnęli,
Złote liście, złotą korę.

Nikt nie wiedział w całym świecie,
Ludzkie oczy nie widziały,
Tylko jedno małe dziecię,
Małe dziecię z chatki małej.

Pan Bóg łaskaw na sierotę —
Przyleciała z nad strumyka,
Pozbierała jabłka złote,
Zawołała na złotnika:

— Złotniczeńku! zrób mi kubek,
Tylko proszę zrób mi ładnie,
Zamiast uszka ptasi dzióbek,
Moją matkę zrób mi na dnie.

— A po brzegach na około
Liść przeróżny niech się świeci,
A po bokach małe sioło,
A na spodku małe dzieci.

— Ja ci zrobię złoty kubek
I uleję wszystko ładnie
Zamiast uszka ptasi dzióbek
Twoją matkę zrobię na dnie.

— A po brzegach na około
Liść przeróżny się zaświeci,
A po bokach małe sioło
A pod spodem małe dzieci;

Ale czyjeż ręce, czyje
Będą godne tej roboty?
Ale któż się nim napije
Komu damy kubek złoty?

Kto się w dłonie wziąć ośmieli,
W złotem denku przejrzeć lice?
— Sam Pan Jezus i anieli
I Maryja i dziewice!

Złotniczeńku patrz weselej
Czemu twoje w łzach źrenice?...
Sam Pan Jezus i Anieli
I Maryja i dziewice.

Teofil Lenartowicz.

Kościół św. Floryana na Kleparzu w Krakowie.

Dwaj gazdowie, co to byli w kościele świętego Jana i dowiedzieli się o żelaznych okowach, szli sobie przecznicą do ulicy floryańskiej. Wtem spotkali w drodze dziadka.

— Niech będzia pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! A zkąd was Bóg prowadzi, mili ludzie?

— Oj z daleka, mój dziaduniu, aż od Nowegotargu...

— A co tu u nas porabiacie?

— Oto widzicie — mówili gazdowie — przybyliśmy tu za różnemi sprawami, a właściwie na odpust, a teraz chodzimy sobie po różnych miejscach, aby zwiedzać ciekawe rzeczy, bo jak przyjdziemy do domu, to nas będą pytać ludzie, cośmy też pięknego wiedzieli w Krakowie, o którym cuda sobie opowiadają...

— A widzieliście bramę floryjańską?

— Nie widzieliśmy, dziaduniu dobry! A czy tam jest co ciekawego do widzenia?

— Jakżeby można być w Rzymie a nie widzieć papieża, być w Krakowie a nie widzieć bramy floryjańskiej?.. A toć ja siaduję pod bramą floryjańską, bo tam we framudze jest cudowny obraz Matki Boskiej pogornej.

Rozciekawieni gazdowie idą za nim i stanęli na ulicy floryjańskiej:

— Patrzcie przed siebie! Oto widać bramę floryjańską, w której już 342 lata słynie Najświętsza Panna! Chodźcie zemną, ja was tam zaprowadzę i opowiem, co mam o niej w pamięci mojej.

Spojrzeli gazdowie i obaczyli wysokie baszty, niby wieże. I patrząc w nie ciągle, postępowali zwolna za dziatkiem A gdy byli blizko bramy, ujrzeli nad nią na murze baszty wyrzeźbioną postać świętego Floryjana w pancerzu, chełmie i z chorągwią, gaszącego ogień.

Wtem wprowadza dziadek gazdów pod bramę i pokazuje po lewej stronie obraz Najświętszej Panny we framudze, ślicznie ozdobiony, a wyglądający jakby ołtarz jaki.

Gazdowie uczuli jakieś dziwne wzruszenie. Mimowoli złożyli ręce i w gorącej zatopili się modlitwie.

Po chwili odzywa się dziadek:

— Obraz ten wsławił się cudami, a dawniejszemi czasami, gdy powstał pożar, a ugasić go nie było można, wynoszono go na owe miejsca, gdzie się paliło. Co rok odprawia się na tę pamiątkę nabożeństwo w kościele świętego Floryjana na Kleparzu w 1. niedzielę przewodnią po Wielkiej Nocy.

— A gdzie to ten kościół? — zapytali gazdowie.

— Ztąd niedaleko — Ja was tam zaprowadzę, ale pierwej warto przecie posłuchać o bramie floryjańskiej. Dawniej był Kraków troistemi murami otoczony; miał wały i głębokie parowy, w czasie wojny napełniane wodą, a wiele bram prowadziło do miasta. A co już brama floryjańska, ta była najpiękniejszą ze wszystkich. Piszą w kronikach, że żaden zdobywca Krakowa nie mógł zdobyć tej bramy, chociaż podczas wojen nie raz doznała uszkodzenia. A dnia 22 czerwca 1768 r. jak sobie dobrze pamiętam, zdobywało ją wojsko moskiewskie, i w tym to czasie padł jenerał moskiewski Panin, którego Oraciewicz zastrzelił guzikiem, nie mając kuli. Nastały czasy, że zniszczono wszystkie mury, a zacny i poczciwy pan Straszewski na ich miejsce w około Krakowa urządził drzewami obsadzone przechadzki, które zowią plantacyami. Została się tylko samiutka brama floryańska jako niemy świadek dawnej przeszłości naszej. Ale bo też gdy Kraków liczył 72 kościołów, prowadził znakomity handel, a miłościwi królowie polscy mieszkali na wawelskim zamku — wtedy brama ta znaczniejszą odgrywała rolę. Przez nią to bowiem wjeżdżali do starożytnego grodu królowie, książęta, hetmani, wodzowie nasi i zagraniczni, biskupi, lubo i dzisiaj przejeżdżają przez nią cesarze i inni dostojni mężowie, ale dla bramy tej zmieniły się już czasy... Dzisiaj przewożą tędy umarłych na cmentarz, — jest ona jakby bramą do wieczności!...

I zadumał się stary dziadowina, co sam świetniejsze zapamiętał czasy; westchnął głęboko i oczy zrosił łzami.

Wtem odzywają się gazdowie, aby dziadkowi wybić smutne myśli z głowy:

— A dlaczego się ta brama nazywa floryjańską?

Na to powie dziadek:

— Tego, moi kochani, nikt z nas nie wie, ale jak sobie ja tłomaczę, pewnie od kościoła świętego Floryana na Kleparzu.

Chodźmy więc do niego, bo to niedaleko!

I idą gazdowie za dziaduniem, aż niebawem przeszedłszy rynek Kleparski, stanęli przed kościołem. Szczęściem był otwarty. Weszli do środka, pomodlili się pięknie, a potem oglądali dawne pamiątki.

— Widzicie te piękne rzeźby — mówił dziadek wskazując im pierwsze filary od drzwi głównych. — Są one roboty Wita Stwosza, owego słynnego rzeźbiarza, który zrobił wielki ołtarz w kościele Panny Maryi, a przedstawiają sceny z żywota św. Jana Chrzciciela i św. Jana ewangielisty. A teraz patrzcie pod sklepienie. Wisi chorągiew; pochodzi ona z Rzymu. Zrobiono ją na obchód kanonizacyi świętego Jana Kantego.

I chodzą po kościele ciekawi gazdowie i oglądają nagrobki.

— A kogo to przedstawiają te osoby tu namalowane? pytają dziadka.

— O moi kochani! — mówił dziadek — są to sami księża, którzy byli przy tym tu kościele. A byli sami prałaci, kanonicy i profesorowie, bo taki był przywilej Władysława Jagiełły. Posag tego kościoła był wielki, a prawo nadawania księży miała akademija

Gazdowie podumali chwilę, potem wyszli przed kościół, aby się mu zewnątrz przypatrzeć!

— Kościół, jak widzicie, stary i piękny, kilka razy był pożarami zniszczony. W 1528 roku zgorzał Kleparz, a wtedy nad kościołem widziano św. Floryana jak się unosił, a gdy zniknął, natychmiast ustał ogień. A możeście ciekawi wiedzieć, jakim sposobem powstał ten kościół?

— O pewnie, żeśmy ciekawi, dziaduniu dobry! — powiedzieli gazdowie, — toć opowiedzcie nam wszystko, co tylko wiecie.

— Było to onego czasu, gdy w Polsce panował bardzo dobry i poczciwy król Kazimierz, zwany dlatego Sprawiedliwym, a biskupem krakowskim był natenczs Gedeon. Uradzili noi między sobą, aby pisać do papieża i prosić go o udzielenie

relikwij jakiego świętego dla Polski. Jak pomyśleli, tak i zrobili. Piszą prośbę do Aleksandra III., papieża, ale ponieważ ten umarł właśnie w tym czasie, piszą drugi raz do Lucyusza III. papieża. Przyjął chętnie ich prośbę, idzie więc do takiej kaplicy, w której spoczywają zwłoki świętych mężów. Przychodzi najprzód do świętego Wawrzyńca i pyta:

— Święty Wawrzyńce, czy chcesz pójść za patrona do Polski?

Ale Wawrzyniec święty odwrócił się na te słowa. Idzie tedy do świętego Szczepana i znowu go pyta. Ale i on uczynił tak samo. Przychodzi nareszcie do świętego Floryjana i odzywa się do niego:

— A ty chcesz iść do Polski?

Święty Floryan zezwolił i skinął ręką. Dano więc znać do Polski, że zwłoki świętego Floryana wysłano już z Rzymu. Wieziono je z wielką czcią i okazałością. Dowiedziawszy się dobry król z Gedeonem biskupem, że są już niedaleko od Krakowa, wyruszyli z największą uroczystością na siedm mil od miasta naprzeciw, a z nimi szło duchowieństwo i niezliczone tłumy pobożnych ludzi.

Przybyli wreszcie na Kleparz. Jak daleko i szeroko dojrzałeś okiem, wszędzie pełno było ludzi z różnych stanów, a księży, tobyś za dzień nie policzył. Z wszystkich kościołów dochodziły głosy dzwonów, a pieśni pobożne wstrząsały powietrze. Aż tu na tem miejscu, gdzie teraz stoi kościół, przystanął wóz, na którym spoczywały święte zwłoki, a to tak silnie, że żadna moc ludzka nie była zdolna poruszyć go z miejsca.

Wtedy rzekł król do zdziwionego duchowieństwa:

— Widać, że święty nasz patron szczególniej upadobał sobie to miejsce i tu zapewne żąda, aby go złożono. Uczyńmy więc zadosyć woli Jego!

Jakoż uczyniono tak jak mówił król. A stało się to roku pańskiego 1184.

Wnetci zwołał król dobry z biskupem Gedeonem majstrów z różnych stron kraju, aby co prędzej stawiali kościół. I stanął niebawem na tem miejscu ten wspaniały dom Boży, jaki widzimy obecnie, choć w ciągu wieków uległ niektórym zmianom.

— Tak widzicie, moi ludzie! — święty Floryan został patronem polskim, a szczególniej Kleparza Kościół dzisiaj ogłasza chwałę przeszłości naszej, a zwłoki świętego męczennika w nim zachowane, dowodzą najwyraźniej, jak Bóg najdobrotliwszy opiekował się ziemią polską.

Polecajcie dobrzy ludzie domostwa wasze opiece tego świętego patrona, a ponieważ strzeżonego pan Bóg strzeże, ubezpieczajcie chaty wasze w towarzystwie ubezpieczeń od ognia, które właśnie jest tu na Kleparzu i ma godło swoje z wyrażeniem świętego Floryana.

— Dziękujemy wam pięknie, dziaduniu dobry, za poczciwe słowa i przyjmijcie od nas skromny datek, na jaki nas stać podróżników. *Józef z Bochni.*

Rozmaitości.

Wiktor hr. Komorowski. Mieliśmy już wielu dobrych i zacnych panów i dziedziców w naszej Polsce, co to dla biednego ostatni grosz ofiarowali, co nie opuścili nikogo i żyli jakby sami dla siebie nic nie potrzebowali i nie chcieli, ale aby tylko biednemu dopomódz. Jeszcze przed rozbiorem Polski byli tacy, co chłopków uwolnili od pańszczyzny, inni darowali im ogromne swe dobra, inni znów dopomagali w szkołach ich dzieciom. Ot i teraz niedawno, w listopadzie b r. zmarł w Królestwie polskiem w powiecie Kieleckim Wiktor hr. Komorowski, dziedzic dóbr Nieszkowa Słaboszewa, Wymysłowa i Kropidła. W testamencie zapisał 66000 (sześćdziesiąt sześć tysięcy) złotych polskich na zapomogę dla biednych chłopków swoich wiosek. Z tych pieniędzy ma być wybudowany ogromny szpichlerz i zakupione zboże, a w czasie — czego Boże niedopuść! przednówku lub moru, każdy może ztamtąd czy to wypożyczać, czy to jeżeli nie może oddać, wziąć zapomogę. Oprócz tego z procentów od tych pieniędzy ma być utrzymywany lekarz i zakupowane lekarstwa dla chorych w tych wioskach. Rozporządził dalej nieboszczyk, aby dawać nagrody dla tych chłopków, co wzorowo i mądrze gospodarują, pięknie i podług nauki hodują bydło i pszczoły, pielęgnują drzewa owocowe, słowem co się w gospodarstwie nauką i pracowitością odznaczają. Na ostatku trzej pracowici, uczciwi i wysłużeni gospodarze, co to już dalej pracować nie mogą, mają otrzymywać wsparcie na starość. — Cześć jego pamięci!

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.